

Justyna Żukowska-Łyko

Z Cmolasu na Dolny Śląsk : wspomnienia Stanisławy Żukowskiej

Rocznik Kolbuszowski 15, 165-180

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z Cmolasu na Dolny Śląsk. Wspomnienia Stanisławy Żukowskiej

Wspomnienia rodzinne są ważnym elementem naszej tożsamości. Słowa spisane, opatrzone fotografiami, dają nam szansę na cofnięcie się do swoich korzeni. Patrząc na twarze już dawno nieżyjących wujków, cioc, stryjków, odnajdujemy w nich rysy również naszych bliskich – tych, których znamy osobiście. Jest to ciągłość łańcucha pokoleń, którego my jesteśmy kolejnym ogniwem.

Stanisława Żukowska urodziła się w 1925 roku w dzisiejszym województwie podkarpackim, w miejscowości Cmolas. Po wojnie przyjechała na Dolny Śląsk. Tu poznała swojego przyszłego męża – wtedy byłego żołnierza Armii Stanów Zjednoczonych, przesiedleńca z Wycynia, wsi na Podolu. Relacja przeprowadzona metodą *oral history* obejmuje takie zagadnienia, jak wspomnienia wieku dziecięcego, czas okupacji, ruchy ludnościowe w powojennej Polsce.

Zniszczenia Dolnego Śląska po wojnie były zróżnicowane. Końcem stycznia 1945 roku ustabilizował się front wzdłuż linii Odry na wysokości miast: Brzeg, Oława, Wrocław, Ścinawa, Głogów. Nadszedł czas na tworzenie nowej rzeczywistości. Pod koniec wojny i w pierwszych latach powojennych Dolny Śląsk był areną ogromnych ruchów ludności, które często miały przymusowy charakter (np. przesiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich, akcja „Wisła”, uchodźcy z Grecji). Pomimo zniszczeń i niebezpieczeństw, na Dolny Śląsk kierowały się rzesze ludzi, uważając to miejsce, mimo wszystko, za atrakcyjne do osiedlenia się¹. Czas migracji, przybywania nowych osadników, ich koegzystencja z Niemcami, poszukiwania zaginionych podczas działań wojennych bliskich, zjawisko szabru

¹ M. Ruchniewicz, *Lata 1945-1948, w: Dolny Śląsk. Monografia historyczna*, red. W. Wrzesiński, Wrocław 2006, s. 625, 636.

– to codzienne wydarzenia z tamtych lat. Dolny Śląsk, nazywany *Dzikim Zachodem*, przyciągał również ludzi z przeludnionych i biednych obszarów Polski, którzy widzieli na tym terenie szansę na nowe, lepsze życie. Kiedy czas wojny dobiegł końca, rozpoczęto organizowanie i tworzenie zaplecza medycznego, szkolnego itp.

W klasyfikacji powojennych ruchów ludnościowych w Polsce badacz Władysław Skowron przyjął podział owych ruchów ludnościowych oparty na zróżnicowaniu przyczyn migracji. Wyróżnił on trzy grupy migracji. Pierwsza to ruchy repatriacyjne – powrót do przedwojennego miejsca zamieszkania. Druga to ruchy strukturalne, powstałe na gruncie powojennych procesów odbudowy i przebudowy struktury społecznej, gospodarczej i geopolitycznej państwa. Do trzeciej grupy zaliczono ruchy reemigracyjne i migracyjne².

K. Kersten tłumaczy, że pod wpływem praktyki administracyjnej przyjęło się traktować wszystkie powojenne migracje międzypaństwowe jako ruchy repatriacyjne, wyłączając częściowo reemigrację³.

Zamazanie różnic między repatriacją rozumianą jako powrót do kraju jednostek zmuszonych do opuszczenia go bezpośrednio lub poprzez okoliczności wojenne, a przesiedleniami grup narodowościowych w następstwie zmiany granic, jest jednym z głównych błędów demografów. Obecnie przyjęło się termin *transferu*, na określenie pewnego typu migracji grup ludności. W polskiej literaturze pojawia się również termin wymiany i przesunięcia, jednak jest on o wiele rzadziej stosowany⁴. W odniesieniu do przypadku Stanisławy Żukowskiej, była ona osiedleńcem. Natomiast jej przyszły mąż Józef był repatriantem.

Metoda *historii mówionej*, czyli *oral history* jest wykorzystywana przy badaniach w wielu dyscyplinach, zarówno tych określanych mianem uniwersyteckich, jak i nie uniwersyteckich. W każdym z tych obszarów historia mówiona ma swoją definicję. Nie oznacza to, że diametralnie różnią się *historia mówiona* wg historii i socjologii, oczywiście posiadają one punkty wspólne. Nie mniej jednak, jednoznaczne określenie, czym jest *historia mówiona*, powoduje dyskusje.

Jednym z ważniejszych wyznaczników historii mówionej jest zapis

² W. Skowron, *Powojenne ruchy migracyjne w Polsce*, w: *Zjawiska demograficzne towarzyszące zmianom granic Polski. III Sesja Rady Naukowej dla zagadnień Ziemi Odzyskanych*, red. H. Kopeć, Kraków 1947, s. 8, 9.

³ K. Kersten, *Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej*, Wrocław 1974, s. 9.

⁴ Tamże, s. 9, 11.

owej relacji w formie cyfrowej audio lub wideo⁵. Warunek ten jest kluczowy, przy późniejszej możliwości udostępniania, jaką metoda *historii mówionej* ma spełniać. Relacja winna być przechowywana i udostępniana zarówno w wersji audio, jak i w transkrypcji. Relacja staje się równocześnie źródłem historycznym.

Choć *historia mówiona* ma formę relacji, to tak naprawdę proces pozyskania owego źródła historycznego (relacji) jest dialogiem między osobą opowiadającą i osobą słuchającą. Ktoś musi zadać pytania, zainicjować je, by ktoś mógł udzielić odpowiedzi i rozpocząć swoją historię⁶. Nie są zatem historią mówioną nagrania z ukrycia, ankiety, czy pamiętniki. Opowiadacz świadomie wyraża zgodę na rozmowę i przedstawienie swojej historii⁷.

Publikacja ta odnosi się do pamięci autobiograficznej – *life story*⁸. Rozmówca przedstawia historię widzianą swoimi oczami⁹. Stawiane pytania mają charakter otwarty, tak by rozmówca miał swobodę wypowiedzi

⁵ „Wywiad staje się relacją historii mówionej dopiero wtedy, gdy jest rejestrowany, w pewien sposób przetworzony, udostępniany w ramach zbiorów archiwalnych, bibliotecznych czy innych lub też przechowywany we względnie wiernej oryginałowi formie z możliwością wykorzystania go w publikacji. To, co definiuje historię mówioną, to powszechna dostępność dla dalszych badań, ponownych interpretacji i weryfikacji gromadzonych relacji”. Cyt. za: D. Ritchie, *Doing oral history. A practical guide*, Oxford 2003, s. 24.

⁶ Zob. M. Frisch, *Craft and Meaning of Oral and Public History*, New York 1990.

⁷ D. Ritchie, s. 19.

⁸ „Pamięć autobiograficzna to – posługując się metaforami Draaismy – „ta część pamięci, w której przechowujemy wydarzenia ze swojego życia osobistego”, „to jednocześnie pamiętnik i księga spraw zapomnianych” kogoś, kto „jest jednocześnie autorem i głównym bohaterem. (...) Jest to pamięć najważniejsza, punktu widzenia historii mówionej, gdyż służy za jej bezpośrednie narzędzie poznania”. A. Kurpiel, *Pamięci opowiadane*, „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej”, IV (2014), s. 26, 27.

⁹ „Dla ukazania roli opowiadania o sobie w tworzeniu tożsamości, mówi się o tożsamości narracyjnej. Jest to specyficzny (narracyjny) sposób aranżacji self – oznaczający tu rozumienie siebie i swojego miejsca w świecie w egzystencjalnych terminach i ujęcie siebie w opowieści o sobie. Jednostki konfigurują self przez tworzenie opowieści definiujących siebie (self-defining stories), a później przez tworzenie także rozleglejszej historii życia (life-story). Taka historia życia powstaje dzięki selekcji i interpretacji, więc w pewnym sensie tożsamość jest celowym wyborem osoby, co do tego, jakie fakty uznać za centralne dla swojego życia i wokół jakich faktów opowiadać o sobie. Chociaż więc historia życia jest oparta na faktach biograficznych, to wychodzi poza nie właśnie przez konstruowanie (wyobrażeniowe) zarówno przeszłość jak i przyszłość, ale także przyszłości”. E. Soroko, *Określenie wad i zalet metod generowania autonarracji*, w: M. Staś Romanowska, B. Bartosz, M. Żurko, *Badania narracyjne w psychologii*, s. 5; dostępne w Internecie: http://www.researchgate.net/publication/256090993_Okreslenie_wad_i_zalet_metod_generowania_autonarracji [dostęp: 10.03.2015].

i myśli. Niejednokrotnie, będąc naocznym świadkiem minionych wydarzeń, rozmówca – świadek historii opowiada „swoją historię”.

Metoda dialogu ze świadkiem historii nie jest wolna od problemów. Począwszy od zaburzonej chronologii płynącej opowieści, poprzez przeciągające się pauzy i początkową barierę przed wypowiedzią i skakania z wątku na wątek¹⁰. Z upływem lat pamięć minionych wydarzeń nieco ewoluuje, np. pod wpływem później nabytej wiedzy lub relacjach innych ludzi. W tego typu badaniach mamy do czynienia z efektem reminiscencji. Zdarza się, że w wyniku tego efektu opowiadane historie życia są nieco podkolorowane (D. Beauvois). Inna argumentacja podaje iż w młodości nasz umysł lepiej wszystko zapamiętuje (D. Draasim)¹¹.

Opowieść Stanisławy Żukowskiej jest jedną z wielu podobnych, które wydarzyły się w dziejach historii. W myśl słów Thomasa Carlyle’a: „Historia jest wyciągiem z niezliczonych biografii” prezentuję Państwu opowieść Stanisławy Żukowskiej z domu Augustyn.

* * *

Nazwisko panięskie mamy Czachor. Babcia Rozalia, z domu Jadach, pochodziła z Hadykówki. Rodzeństwo mamy: Katarzyna, Jan, Stanisław, Maria (zmarła, mając 24 lata), Anna, Weronika, Władysław. Anna wyszła za mąż za Grzełę, Władysław zmarł, mając 20 lat (przeziębził się i dostał zapalenia płuc). Reszta rodzeństwa wyjechała do Ameryki i nigdy nie powróciła. Mama Zofia wyszła za mąż w lutym 1925 roku za ojca Józefa Augustyna. Odnośnie rodziców ojca, czyli moich dziadków. Mój dziadek i babcia: Tomasz Augustyn i Anna z domu Bogacz.

Od strony taty miałam łącznie czwórkę wujków i cioć. Byli to: Jan, Maria, Ewa, Janka. Janka zmarła, mając 17 lat. Maria nigdy nie wyszła za mąż, była bardzo pobożna. Jan (stryjek) ożenił się z Katarzyną Weryńską. Jej siostra Petronela wyszła za Maruczka Michała, który był moim chrzestnym.

Ojciec, urodzony w 1905 roku, ukończył sześć klas szkoły podstawowej. Został na krótko czeladnikiem u szewca. Mama Zofia, urodzona w 1902 roku, ukończyła 5 klas szkoły powszechnej. Bardzo lubiła czytać, książki, znała na pamięć dużo wierszy i pamiętam, że lubiła śpiewać.

¹⁰ „Pamięć nie jest biblioteką z rzędami książek, z której nasz mózg wybiera sobie jakąś pozycję i odczytuje/przywołuje treść tak, jak to zostało kiedyś zarejestrowane. Aktywacja wspomnień przypomina raczej pisanie (tworzenie) owych wspomnień od nowa i za każdym razem w nowym kontekście w ramach procesu nazwanego rekonsolidacją”. Cyt. za: W. Doliński, *Nowe ślady, stare drogi. Europa w pamiętnikach Polaków*, Kraków 2012, s. 61.

¹¹ Za: A. Kurpiel, s. 29.

Niecały rok po ślubie rodziców przyszłam na świat ja – Stanisława. Urodziłam się 26 grudnia 1925 roku, w drugi dzień Świąt, czyli św. Szczepana. Poród odebrała babcia Rozalia. Jak było w zwyczaju, dziecko trzeba było ochrzcić. Na chrzcie otrzymałam imię Stefania – podobno tak chciał tato. Jak byłam większych lat, to brał mnie na ręce przytulał i mówił: „O Siasia, Siasia! Siasia, Ty Siasia”. Mój chrzestny miał pasiekę, miał też parę koni. Często chodziliśmy tam i bawiliśmy się. Chrzestny miał też wiatrak. Najlepszą zabawą było wieszanie się na jego skrzydłach. Oczywiście, nie można było tak robić i było to niebezpieczne, ale my byliśmy dziećmi. I jeszcze jedno słodkie wspomnienie. Wujek Michał dawał nam miód. A najbardziej lubiłam, jak jego żona upiekła piernik. Był taki pyszny i przepięknie pachniał.

Pamiętam, że do mojego chrzestnego przyjeżdżał ktoś czasem samochodem. To chyba nie był jego samochód, wydaje mi się, że był szoferem. Wtedy samochód, to było coś. Kiedy samochód stał na podwórzu, to my zawsze się zbieraliśmy, żeby chociaż popatrzeć. Korciło wszystkich – ażeby wrócił do środka, żeby usiąść chociaż.

Byłam najstarsza i miałam dużo rodzeństwa. Pamiętam, jak każde z nich przychodziło na świat. Bronisław urodził się w 1929. To była bardzo ostra zima. Śniegi były takie, że małe chaty kryte słomą były całe zasypane. Śniegu było tyle, że aby dostać się do stajni, trzeba było drążyć tunel. W 1931 roku urodził się mój drugi brat. Tato dał mu na imię Edward, na cześć Edwarda Rydza Śmigłego. W 1937 roku urodziła się siostra Marysia. Bardzo chciałam mieć siostrę. Z tą moją siostrą jest związana pewna historyjka. Kiedy na wiosnę przyleciały bociany, a gniazdo miały u sąsiada Babiucha, zawołałam braci, stanęliśmy na podwórku i zaczęliśmy krzyczyć: „Boćku boćku, przynieś nam Marysię”. Wierzyłam, że bocian przynosi dzieci, a takie okrzyki miały spowodować pojawienie się upragnionej siostry. Oczywiście dostałam wtedy od mamy lanie. Ale chyba bociek posłuchał, bo w listopadzie urodziła się właśnie Marysia. Ostatni przyszedł do nas Franciszek. Urodził się podczas okupacji, w 1943 roku. Mama była już w podeszłym wieku jak na rodzenie dzieci, bo po czterdziestce. Miała bardzo ciężki poród. Bardzo bałam się o jej życie. Rodziła w domu przy babce. Przez trzy dni pielęnowaliśmy ją i dziecko. Miałam wtedy już 18 lat i bardzo lubiłam swoje rodzeństwo.

Dziadka mojego nie pamiętam. Babcie pamiętam jak przez mgłę, bo miałam 4 lata, kiedy zmarła. Babcia była z Hadykówki. Nazywała się Adach. A dziadek był z Cmolasu. Mama mówiła, że obowiązkowo jeździli we wtorki na jarmarki do Kolbuszowej. Wszyscy chcieli jechać na ten targ. Jak kobiety uskładały jakieś jajka, cokolwiek, obowiązkowo jechali na targ.

Jechali albo szli na pieszo. Na targu spotykali się ludzie z całego powiatu. Tam zawierało się umowy. Życie towarzyskie i interesy kwitły. Dogadywali się, kto ma syna, kto córkę, w celach matrymonialnych, oczywiście. Znam nawet osobiście taki jeden przypadek. Miałam sąsiadkę Zosię. Jej matka zmówiła się z jakąś inną matką zza Kolbuszowej. I ten jej syn przyjeżdżał do mojej Zosi i się z nią ożenił. Ba, mnie też chcieli wyswatać. Był taki starszy kawaler, Mokrzycki się nazywał. Chciał budować dom na naszej ziemi. I żeby dostać ją za darmo, powiedział do moich rodziców, że się ze mną ożeni. A mi to jeszcze w głowie nie było. Miałam wtedy z 18 lat, a może i jeszcze mniej... No i rzeczywiście wybudował sobie dom u nas na ziemi. Potem ja poszłam uczyć się do Kolbuszowej i nie chciałam się z nim ożenić. No i on się ożenił, ale nie ze mną. Wtedy tato kazał mu rozebrać dom. Mój niedoszły mąż ożenił się z dziewczyną, która miała swój dom, więc po rozbiórce mieli gdzie iść. Rozebrali ten drewniany dom i Mokrzycki poszedł tam do niej mieszkać. Ironia, pamiętam, że jeszcze na ich weselu byłam druhną.

W Cmolesie rodzina o nazwisku Augustyn była tylko jedna. Skąd przybył mój dziadek – nie wiem. Babcia była z Zarębek ok. 2 km od Kolbuszowej. Babcia miała na imię Anna. Mama miała dużo rodzeństwa i wszyscy pojechali do Stanów Zjednoczonych. Zastanawiam się czasem, jak oni się wszyscy pomieścili w tej małej chatynce? Bo tylko 2 łóżka były. Co prawda takie z szufladami, ale jednak miejsca mało. A tam tyle dzieci i gdzie oni byli? W lecie to chyba na sianie.

W czwartym roku życia mama zapisała mnie do „ochronki”¹². Ochronkę prowadziły zakonnice – Józefinki. Zajęcia odbywały się od późniejszej wiosny (od maja) i przez lato, a wtedy było najwięcej prac polowych. Jednak nie wszyscy zdecydowali się na odesłanie dziecka pod opiekę zakonnice. Rano mama ubierała mnie, w lnianą szmatkę zawiązywała kromki chleba, posmarowane masłem lub posypane cukrem i skropione wodą. Było to drugie śniadanie. Zakonnice zapewniały tylko wodę do picia. Przyniesiony posiłek kładło się na wspólnym stoliku. O godzinie 11 siadaliśmy na podłodze i jedliśmy śniadanie. Na końcu zakonnica przynosiła wiaderko wody i garnuszek. Po kolei raczyliśmy się wodą.

Zajęcia rozpoczęły się modlitwą, a potem zakonnica wyprowadzała nas na podwórko i uczyła nas różnych zabaw i piosenek. Na przykład „Koło młyńskie”, „A Ty, panno Ulyjanko, klękni na kolanko”, „Konopki”, „Gdzie żeś to bywał, czarny baranie”, „Szewczyk”, „Stary niedźwiedź”. Kiedy padał deszcz, bawiliśmy się w sali. W dużym pudełku były drewniane

¹² Ochronka to forma wczesnej opieki przedszkolnej.



Fot. 1

klocki, gumowe piłeczki i kilka szmacianych laleczek. Kto pierwszy dopadł do pudełka, ten wybrał sobie coś do zabawy. W połowie zajęć zakonnica zabierała nas, żebyśmy się „załatwili”. Za stajenką był gnojownik. Najpierw szły dziewczynki, a potem chłopcy. Ubikacji dla dzieci nie było. Pod koniec sezonu było zakończenie. W sali zakonnice robiły prowizoryczną scenę z kotarą. Na scenie mieliśmy się popisywać piosenkami i wierszami. W wyznaczonym dniu wszystkie dzieci przyszły ubrane po krakowsku (dziewczynki i chłopcy).

Na zakończenie, prócz rodziców zapraszano innych gości: wikarego, wójta, organistę i siostrę przełożoną. Siostra opiekunka poprowadziła nas na scenę i ustawiała według wzrostu. Ja, najmłodsza, byłam w pierwszym rzędzie. Na scenie był półmrok. Byłam ubrana w jasnopopielaty strój. Głowę miałam udekorowaną kwiatkami. Nieśmiało dygnęłam, palcem sprawdzając, czy są prawdziwe – nie były. Nagle kotarę rozsunęli i znowu szok. Sala pełna ludzi i zdawało mi się, że znam tylko połowę. Nagle słyszę: „ukłoń się i mów”. Dygnęłam więc i zaczęłam mówić wiersz:

*Wszyscy się dzisiaj bardzo cieszymy,
Gdy zacych gości wśród nas widzimy.
Za przyjścia trudy im dziękujemy,*

*o szczęście Boga dla nich prosimy.
Dawniej to ojcowie nasi mówili, że gość w dom Bóg w dom przychodzi
Więc i nam cieszyć się i radować się godzi.
Prosim pokornie Boga w niebie, by zacnych gości wspierał w potrzebie,
By im dał zdrowie najdłuższe lata.
Niech nam żyją dla dobra Kościoła i świata.*

Po występie poszliśmy na podwórko zrobić zdjęcie. Zakonnice i fotograf ustawili nas w odpowiedni sposób. Fotograf postawił przed nami tajemniczą skrzynkę na trzech nogach przykrył jakąś czarną szmatą i wsadził pod tą szmatę głowę. W pewnym momencie podchodzi do zakonnicy i mówi: „Tę dziewczynkę trzeba przesunąć do przodu, może jej uciąć rękę” i wskazał na dziewczynkę stojącą koło mnie. Przestraszyłam się, że utną jej rękę nożem i dziewczynka zostanie bez ręki i będzie się lała krew. Miałam ochotę uciec, ale przesunięto dziewczynkę i fotograf powiedział, że już będzie dobrze. Poszedł znowu do tajemniczej skrzynki, przykrył głowę czarną szmatą, wyciągnął rękę do góry i krzyknął, żeby wszystkie dzieci patrzyły się. Podobno ze skrzynki miał wylecieć ptaszek. Ptaszek nie wyleciał, ale zdjęcie się udało i przetrzymało już ponad 80 lat.

Co roku zakonnice organizowały majówki dla dzieci i ich rodziców. Zapamiętałam dwie takie majówki. Pod ochronkę przyjeżdżało kilka furmanek, zakonnice i rodzice siadali na siedzeniach, a dzieci sadzano z tyłu w półkoszyk wyścielony sianem. W tym sianie wyglądaliśmy jak ptaszki, w rękę trzymaliśmy chorągiewki biało-czerwone. Zawieziono nas do leśniczówki w sąsiedniej wiosce – do Porąb. Tam bawiliśmy się, częstowano nas słodkim ciastem, a do popicia dawali mleko. Drugą majówkę, którą zapamiętałam, to majówka, na skraju Lasu Książęcego. Las ten należał do plebanii i liczył sobie kilkadziesiąt hektarów. Znowu pojechaliśmy furmankami, rodzice przywieźli beczkę piwa, jakieś upieczone ciasto.

Dzieci dostały po ciastku pierniku i herbaty i bawiły się pod opieką zakonnicy. Dla księdza przywieziono krzesło.

W 1936 roku przenieśliśmy się ze starej chatki krytej słomą do nowo wybudowanego domu – większego, krytego dachówką. W naszym domu nie było biedy, ale też nie przelewało się. Cukierki, cukier, ciasto i inne łakocie były rarytasem. Kawę, herbatę czy prawdziwe kakao mama gotowała od święta. Ciasta i bułki drożdżowej z mąki „nul nul” mama piekła tylko na święta i odpust. Do 1936 roku mieszkaliśmy w chacie krytej strzechą. Wchodziło się do niej przez wysoki próg, najpierw do obszernej sieni, w której znajdował się piec chlebowy i kominek. Za drzwiami stała duża beczka kapusty, drabina, po której wchodziło się na górę (na strych). W kącie stały

„akcesoria” do pieczenia chleba: okrągła drewniana lopata z długim uchwytem, „pociosek” do rozsuwania i wyciągania żaru z pieca oraz „pomiotko”. Na długim kiju mały słupeczek słomy, który się moczyło w wodzie i czyściło piec przed wsadzeniem chleba. Z sieni wchodziło się do izby. Zaraz przy drzwiach stał kuchenny piec „blacha”, na której gotowało się jedzenie w ziemie. W każdej wiejskiej chacie musiał być duży piec, na którym suszyło się ziarno do mielenia w żarnach. Piec był rajem dla dzieci i starsuszków. Można było się tam dobrze zagrzać, a nawet pospać. No i jeszcze kot okupował kącik na piecu. Był barometrem. Jak kot chował się na piec, to znaczyło, że będzie mróz. Na odwilż siadał przy piecu na ławce, bo miauczał, żeby go wypuścić do sieni. Umeblowanie takiej izby było proste. Mała szafka, gdzie trzymano gliniane miski do jedzenia, gliniane garnuszki na mleko, nad szafką półki a na nich wystawione fajansowe talerze pięknie malowane. Do tego garnuszki, ewentualnie szklanka na piwo i kieliszek. Koło szafki stała konewka z wodą (drewniana), ceber do mycia statków (takie naczynia). Po jednej i po drugiej stronie łóżka, po środku, pod oknem stał stół, a przed nim ława. Na ścianach święte obrazy i gromnice. Przy oknie lampka naftowa powieszona na ścianie. Podłogi nie było, tylko gliniana podłoga. Przy piecu też była ława, tzw. przypiecek. Tu też można było się ogrzać. Sąsiadki, jak przychodziły na „bajki”, czyli na plotki, a czasem brały kąpiel, to siadały na przypiecku i przędły len. Okna w izbie były małe, zastawione kwiatami doniczkowymi, w zimie zawsze zamrożone. Jak chcieliśmy coś zobaczyć na podwórku, to chuchaliśmy, żeby mróz roztopił się i przez okrągłe otworki oglądaliśmy świat. Jeszcze ważnym sprzętem w naszej chacie był szafa. Były w niej ubrania taty, a na górnej półce schowane były rzeczy niedostępne dla dzieci: książeczki do modlenia, dokumenty, brzytwa, akcesoria do golenia, kalendarz rolniczy i zakręcony w miękką szmatkę aparat do cięcia szkła „diament”. Tata wstawiał szyby do okien sąsiadom. W środku tego aparatu błyszcząco malutkie oczko różnymi kolorami tęczy. Był to prawdziwy diament. „To jest najtwardszy i najdroższy kamień” – tak nam tłumaczył tato. Obok sieni znajdowała się komora zamknięta na klucz. Stały tam: skrzynia ze zbożem – beczki mniejsze i większe, a po drugiej stronie stał duży, zielony kufer. W kufurze były schowane odświętne ubrania. Były to chustki na plecy, zimowe grube, na jesień i wiosnę cieńsze i na lato cieniutkie – zapamiętałam jedna czarna, z błyszczącymi frędzlami i przepiękna jasna w tureckie wzory. Tam też wisały spódnice plisowane, bielizna z koronkami. Wszystko pachniało naftaliną. Na samym spodzie mama chowała zdjęcia. Duże, oprawione w tekturowe wytłoczone ramki przysyłały siostry mamy, które wyjechały do Ameryki. Ciotka Weronika przysyłała swoje zdjęcia ze ślubu. Obok dużego kufra stał na stołku mały kuferek a w nim



Fot. 2

chustki na głowę. Kobieta zamężna nie mogła nigdzie pójść z gołą głową, a zwłaszcza do kościoła. W skrzyni leżały też piękne wyprasowane chustki do nosa, prawdziwe korale i inne drobiazgi. W komorze wisiały też pęki ziół suszonych w lecie, no i była półka na chleby.

Chleb piekło się raz w tygodniu i wynosiło do komory. Ważnym narzędziem w każdym domu były żarna. Mełło się w nich żyto na mąkę, z której piekło się chleb, główny składnik pożywienia. Pieczenie chleba to był rytuał. Na wieczór robiło się rozczyn z ciepłej wody i mąki. Kiedy rozczyn zaczął rosnać, dolewało się więcej wody, mąki, soli i miesiło się. Gospodyni wiedziała, jakiej gęstości ma być ciasto i jak długo trzeba je miesić. Po skończonym mieszeniu przyklepywało się ciasto w dzieży, posypywało się lekko mąką i ręką robiło się znak krzyża. Wtedy ciasto miało rosnać w ciepłe przy piecu albo pod pierzyną. Nie wolno było wtedy nam hałasować ani przedrzeźniać się. Ciasto miało w ciszy i ciepłe rosnać. Gdy zaczynało rosnać, wtedy zaczynało się palić w piecu. Wysuszone, długie polana drewna wkładało się do pieca i podpalało się. Dym z pieca wychodził na zewnątrz prosto pod okap i do komina. Kiedy cegły w piecu robiły się jasne, a spód pieca po odsunięciu żaru iskrzył się, to znak, że piec jest dobrze nagrzwany. Wtedy mama brała garść wyrośniętego ciasta i na posypanej mąką łopatką robiła duży placek. Odsuwała do tyłu żar w piecu i wkładała ten placek do pieca. Był to podpłomyk, na który czekaliśmy z utęsknieniem. Podpłomyk szybko się przyrumieniał. Było to pyszne jedzenie. Wyrośnięte

ciasto brało się na łopate, posypywało otrębami i smarowało się mokrą ręką bochen chleba i szur do wyczyszczonego pieca. W piecu mieściło się 5-7 bochenków chleba. Piec zamykało się blaszanymi drzwiczkami i czekało się półtorej godziny. Upieczony chleb wносиło się do komory. W jesieni po upieczeniu chleba kroilo się jabłka i gruszki do wysuszenia. Na święto piekło się ciasto drożdżowe i ciastka. Mama kupowała mąkę „nul nul”.

Nowy dom był drewniany, ale obszerny. Składał się z dużej izby kuchennej i małej „izdebki”. Wszędzie już była podłoga i kryty był dachówką. Do mieszkania wchodziło się przez ganek. Potem, podczas okupacji, w izbie tej była zlewnia mleka. W środku pokoju przytwierdzono dużą wirówkę do mleka. Codziennie raniutko ludzie przynosili w blaszanych bańkach mleko. Tato był kierownikiem punktu, mierzył mleko, pobierał próbki mleka, zapisywał ilość. Mleko lało się do pustych baniek i ludzie zabierali je. Mleko wirowało się na wirówce, śmietanę oddzielało się od mleka, a chude zlewało się do pustych baniek i ludzie zabierali je do domu dla świń. Z pobranych próbek tato wykonywał analizę, z której wychodził procent tłuszczu w mleku. Na podstawie analizy tato obliczał cenę za litr mleka. Śmietanę wożono do kolbuszowskiej mleczarni, gdzie wyrabiano masło i śmietanę. Raz w miesiącu była wypłata za dostarczone mleko. Dostawców mleka było coraz więcej, ludziom się to opłacało. Mama została wybrana przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. W nowym domu odbywały się zebrania, kursy gotowania, pieczenia, szycia na maszynie. Przyjeżdżali do nas instruktorzy z powiatu i z województwa na szkolenia kobiet. Zachęcali do zakładania ogrodów i sadów. Sprowadzali nowe warzywa, takie jak kalarepa, kalafior, pomidory. Można było dostać koce i żywność.

Kiedy miałam 5 i pół roku, umiałam już czytać, pisać i robić rachunki. Kiedy miałam sześć lat, mama chciała wysłać mnie do szkoły. Kierownik szkoły nie chciał mnie przyjmując, mówił, że jestem za mała. W tym czasie dopiero od 7 roku można było chodzić do szkoły. Na drugi rok już mnie przyjęli. Zapisy do szkoły były w lipcu, czasem w sierpniu. Do powszechnej i do podstawówki. W zamian za zapisanie do szkoły dawało się dyrektorowi koguta. Nie kurę, bo to za dużo by było. W szopie było dużo kogutów. W szkole były 4 izby. Bo to była szkoła nie tak dawno wybudowana. Była kancelaria w pokoju u kierownika. Miał on do dyspozycji jeszcze 2 sypialnie.

W klasie szóstej już miałam na świadectwie kilka dobrych ocen. Natomiast w klasie siódmej przestałam się uczyć. W roku 1938 wprowadzono pierwszy rocznik klasy VII w Cmolasie, ale mogły się zapisać dzieci starsze. Dochodziły więc dzieci z innych wsi, przeważnie chłopcy. Ci starsi chłopcy zaczęli nami, młodszymi rządzić, wyzywali nas, a czasem bili. Pamiętam, że pyskowałam do nich. Najgorszy był Jasiek Magda. Obiecywał, że jak mnie

dopadnie, to mnie zbije na kwaśne jabłko. Skarżył na mnie do wychowawczyni i dostawałam uwagi za zachowanie. Nie chciałam chodzić do szkoły, zaczęłam wagarować. Nieraz też sobie popłakałam.

Po ukończeniu siódmej klasy poszłam z mamą do Kolbuszowej i zapisałam się do Zawodowej Szkoły Handlowej i od 1 września 1939 roku miałam tam uczęszczać. Mama bardzo chciała nas wykształcić, żebyśmy nie musieli ciężko pracować na roli. Do szkoły tej, niestety, nie poszłam. Wybuchła wojna. Bronek ukończył wtedy 3 lata. Edziu był zapisany do 1 klasy.

Mój rocznik pierwszy kończył 7 klasę. Chodziło o to, żeby się nauczyć czytać i pisać. Jak już ktoś ukończył 7 klasę, to już taki awans społeczny. Już miał opinię wykształconego człowieka.

Kiedy byłam już starsza, uczestniczyłam w zabawach. To się nazywało „muzyki”. W zimie wynajmowano izbę, gdzie była podłoga, bo nie wszędzie była. No i wtedy wynosili wszystko, co się dało z tego pomieszczenia. Na łóżku stawiali ławkę, na ławce siadali muzycy. Muzycy, czyli zazwyczaj skrzypek albo akordeonista i nikt więcej. Na środku było miejsce do tańczenia. Każdy chłopak musiał sobie przyprowadzić dziewczynę. Sama dziewczyna nie mogła przyjść. Musiała z bratem, sąsiadem, jak miała jakąś sympatię, to z tą sympatią. Mówiło się: „Jak to sama idzie? To nie tak!”. W lecie było nieco inaczej. W lecie to robili podłogi. Na odpust zawsze była muzyka i właśnie taka podłoga. Często podłogi urządzali na naszym polu, bo było niedaleko kościoła. Mieli gotowe deski, ogradzali żerdkami i już – podłoga do tańczenia gotowa. Powierzchnia do tańczenia była wielkości dwóch pokoi. Żerdki były po to, żeby nikt nie wchodził. Płaciło się za tańce. Jeden stał przy wejściu i zbierał pieniądze. I taki jeden delikwent z drugim, którzy pilnowali, tańczyli na zmianę. Dwa tańce z dziewczyną, a potem zmiana. Czasami nie trzeba było płacić i wszyscy mogli się bawić, ile chcieli, ale to rzadko.

Cmolas jest położony o 7 km od niedużego miasteczka – Kolbuszowej. Do wojny w zasadzie nie jeździłam do Kolbuszowej. Bo po co? Czasem mama mnie brała, żebym zobaczyła, ale tak, to po co ja miałam tam jechać? No a po wojnie... To mieszkaliśmy też w Kolbuszowej na stacji.

We wsi, w Cmolesie, były prywatne sklepy. Był też sklep żydowski¹³. Wszystko tam było – mydło i powidło. I tam też wszystko można

¹³ Więcej na temat Żydów w powiecie kolbuszowskim: Archiwum Fundacji Shalom, sygn.VI/2004/151; A. Więch, *Losy Polaków pochodzenia żydowskiego w czasie II wojny światowej na terenie powiatu Kolbuszowskiego*; M. Skowroński, *Powiat Kolbuszowski, Krosno 2000*; tenże, *Kolbuszowa i okolice*, Warszawa 1964; tenże, *Powiat Kolbuszowa, „Przegląd Kolbuszowski”, 1993, nr 17*; W. Wierzbieniec, *Żydzi w województwie lwowskim w okresie międzywojennym. Zagadnienia demograficzne i społeczne*, Rzeszów

było sprzedać, nawet kilo żyta. Przed odpustem chodziliśmy po polach i zbieraliśmy kłosa. Potem pałkami młóciliśmy i nieśliśmy do Żyda. W ten sposób mieliśmy pieniądze na odpust, żeby coś sobie kupić. Drugi sklep był Kółka Rolniczego. Kolejny to był Sklep „Tęcza”. I jeszcze jeden sklepik malutki, ale nie pamiętam, co w nim było. W Cmolesie była też karczma prowadzona przez Żyda. W całym Cmolesie było coś ze cztery sklepy żydowskie. Pamiętam też, że podczas wojny w Kolbuszowej zrobili getto. Ludzie opowiadali, że wywieźli Żydów z Kolbuszowej do lasu i strzelali do nich i zakopali. To było chyba koło Głogowa Małopolskiego. Opowiadali też ludzie, że ktoś podobno widział, jak po tej masakrze ruszała się ziemia... Może nie wszyscy umarli od strzału? Miałam koleżankę Żydówkę – Esterę Wołek, mieszkała w Cmolesie. Jej ojciec zawsze wiedział, kiedy i gdzie krowa się będzie cielić. Przyjeżdżał i kupował je. To on zabijał zwierzęta i sprzedawał Żydom. Właściciel jednego ze sklepów nazywał się Pinkies.

Chociaż od tamtych wydarzeń upłynęło wiele czasu i niektóre wspomnienia zacierają się, to uczucia, jakie towarzyszyły mi wtedy, chyba nigdy nie zetrą się w pamięci. Podczas okupacji pracowałam u baora około roku. To była ciężka praca i bardzo męcząca. A później Mania, moja koleżanka, załatwiła mi pracę i było już znacznie łatwiej. Niemcy założyli firmę Szttygiel, która zajmowała się budowaniem dróg. Wytuczali jak najlepsze drogi na wschód, do Rosji, remontowali te zniszczone, wytuczali żwirowe itp. Przebywało wtedy w Cmolasie dużo Niemców i wielu też ludzi pracowało przy budowie. Potrzebna była zatem kuchnia. Osobna kuchnia była dla Polaków i dla Niemców. W kuchni ktoś musiał gotować, a Mania dobrze umiała gotować, niemiecki znała, więc najęła się do gotowania. Pracując już w kuchni, załatwiła mi przeniesienie od baora do pracy w biurze. W biurze przepisywałam listy pracowników i robotników. Każdego miesiąca była lista płac i każdy musiał podpisać odbiór swojej wypłaty, choć była ona niewielka. W biurze pracowało jeszcze czterech Polaków.

Pamiętam, że Niemcy pod naszym bokiem posadzili ziemniaki. A my nie mieliśmy nic. Pamiętam głód, kiepsko było. Ale ratowało nas wtedy mleko. U nas w domu była zlewnia mleka. Mama czasem podbierała z baniek mleko, choć nie wolno było. Pamiętam też partyzantów. Spotykaliśmy ich czasem, chodząc na grzyby do pobliskich lasów. Wszyscy wiedzieli, kto w partyzantce jest, a kto nie... Pamiętam, jak jednego partyzanta zabili. Potajemnie zaszlachtował świnie na mięso. Ktoś doniósł o tym Niemcom. No i Niemcy zarządzili rewizję. Wchodzili do każdego domu. A ten par-

2003; E. Rączy, *Pomoc Polaków dla ludności żydowskiej*, Rzeszów 2008; F. Lis, *Dzieje Żydów w Kolbuszowej do 1939 roku*, „Prace Historyczno-Archiwalne”, t. XI, Rzeszów 2002.

tyzant po jednym domu się oddalał, a Niemcy za nim rewidowali kolejne domostwa. Jak doszedł do naszego domu, to już chyba nie wiedział, gdzie uciekać i nie wytrzymał. Zaczął biec w pole, tak, że wszyscy go widzieli. Niemiec, który stał przy naszym domu, ukląkł na jedno kolano przymierzył lufę do policzka i strzelił. Pamiętam jeszcze jednego partyzanta, który ukrywał się w lesie. Przychodził do nas czasem. Miał mieszkanie w Tarnowie, małą córeczkę i żonę. A my wiedzieliśmy, że to oficer i że się ukrywa. Pewnego razu zaskoczył nas niespodziewaną prośbą. Chciał, żebym pojechała z nim do Tarnowa. Miałam pomóc jego żonie i opiekować się ich córeczką. Mama zgodziła się. A ludziom z wioski mówiła, że pojechałam na roboty do Niemiec. I tym sposobem znalazłam się w Tarnowie. Na miejscu przykazali mi mówić, w razie pytań, że przyjechałam do cici. No i pojechałam do tego Tarnowa, kazali mi mówić, że przyjechałam do cici. Potem, jak przyjeżdżał do Tarnowa, do mieszkania, to kazał mi stawać przy oknie i patrzeć, czy nikt podejrzany nie wchodzi do kamienicy. Chyba nazywał się Snopkowski... Ale nie pamiętam tego dobrze.

Raz miałam za zadanie zanieść paczkę pod wskazany adres. Jakby ktoś mnie zapytał, co mam w środku, miałam odpowiadać, że majtki. Nie wiem, co było w tej paczce, wszystko poszło gładko. I ten Snopkowski (choć nie pamiętam, czy tak naprawdę miał na imię) uczył się angielskiego i kiedy zjawiał się na dłużej w domu, to i mnie zaczął uczyć. W Tarnowie byłam całą zimę. Zdarzało się, że moi gospodarze wyjeżdżali gdzieś na kilka dni i wtedy zostawałam sama w mieszkaniu. Wychodziłam wtedy na targ, chodziłam po mieście, czytałam. Szwagier żony mojej gospodyni był przed wojną redaktorem jakiejś gazety rolniczej, ogrodniczej i w mieszkaniu było dużo numerów tej gazety. Ale nie pamiętam, jak się dokładnie nazywała. Czasem paczki z tymi gazetami wysyłałam na poczcie. A raz, kiedy przyjechałam odwiedzić rodzinę w Cmolasie, mówiłam wszystkim, że przyjechałam na urlop i że pracuję w Niemczech.

Od października 1944 w Cmolasie zakwaterowano Sanitarną Jednostkę Wojsk Radzieckich. Trzeba było się ścisnąć w tym naszym domu, bo jedno pomieszczenie musieliśmy oddać żołnierzom. Zamieszkał u nas pułkownik ze swoim sekretarzem i tu mieli swoje biuro. A życie toczyło się dalej. Zaczęto powoływać jednostki administracyjne, przygotowywano się do otwarcia szkół. We wrześniu poszłam do szkoły – do ogólniaka w Kolbuszowej. Byłam najstarsza ze wszystkich uczniów. Były takie dwie dziewczyny, które przed wojną skończyły 2 klasy gimnazjum, ale były młodsze ode mnie. Jedna uczyła się w czasie okupacji w tajnych nauczaniach – Józia Tokarz. Był jeszcze jej brat Karol Tokarz, on też uczył się, pobierał lekcje w tajnym nauczaniu.

Zdałam egzamin wstępny do ogólniaka i zostałam przyjęta. Takich jak ja, było około 40 osób z całego powiatu. Pierwsze tygodnie to był koszmar. Musieliśmy sobie zorganizować stoły i krzesła. Nie było podręczników ani zeszytów, przyborów do pisania. Do języka polskiego były trzy podręczniki na całą klasę, kilka z historii i geografii, najwięcej do języka niemieckiego. Na pierwszą lekcję przyszedłam z jednym zeszytem i ołówkiem. Na każdej lekcji notowałam sobie, co nauczyciel mówił. W domu rozwijałam to, pisałam na czysto i uczyłam się na pamięć. Doszłam do takiej wprawy, że skrótami mogłam zapisać prawie całe lekcje. Czasem umawialiśmy się grupkami i zostawialiśmy po lekcjach. Wymienialiśmy się wtedy podręcznikami i uczyliśmy się razem. Pierwszy rok chodziłam na pieszo do Kolbuszowej. Reszta moich rówieśników miała rowery. Tato zlitował się w końcu i kupił od kogoś stary rower. Ale rower był zepsuty i nikt go nie umiał naprawić. We wsi przed wojną były tylko dwa rowery i nikt nie wiedział, jak sobie poradzić z felernym sprzętem. W końcu mój brat Broniek coś się zakręcił i naprawił. Chociaż nie do końca, bo skręcił go tak mocno, iż jazda na nim wymagała dużego wysiłku. Jakby tego było mało, przebiła się opona. Szczęście mieliśmy też pompkę. Podróż wyglądała dość komicznie, bo co parę kilometrów musiałam stawać i pompować dętkę, a do tego te ciężko chodzące pedały.

W szkole kazano nam się ubierać na granatowo. Obowiązkowo na ramieniu tarcza z numerem szkoły i granatowy beret. Ale skąd to wszystko wziąć, kiedy brakowało wszystkiego? Za bimber mama kupiła szybel wojskowy, poprułyśmy go, wyprałyśmy i zafarbowaliśmy na ciemnogranatowy. Krawcowa uszyła mi płaszcz na zimę. Dopóki było ciepło, to chodziłam w białym swetrze, który sama sobie zrobiłam z owczej wełny. Najgorsze było to, że szybko się brudził i trzeba było w każdą sobotę go prać. A sechł długo. Do tego wełna się filcowała. Nie raz dosychał na mnie. Z butami też nie było lepiej. Dobrze, że tato robił drewniaki oraz sandały z drewnianymi spodami. Wpadł na pomysł, że drewniany spód przecinał pod stopami a potem łączył skórą przybijając gwoździkami, tak żeby spód się wyginał. I chodziłam w tych drewniakach do Kolbuszowej. Po pewnym czasie gwoździki poprzebijały się i raniły mi stopy. Nosiłam ze sobą gładki kamień i co kilkadziesiąt metrów dobijałam gwoździki i szłam dalej. To jeszcze przed tym, jak dostałam rower. Nauka powoli szła mi coraz lepiej. Najbardziej nie lubiłam łaciny. Jak dojrzałam do końca roku i zaczęłam drugą klasę, to miałam ochotę przerwać i pójść do pracy do jakiegoś biura. Zaraz po drugiej wojnie brakowało ludzi wykształconych. W czasie wakacji prowadziłam półkolonię w Krzątce i bardzo mi się spodobała praca z dziećmi. W klasie zaczęły się już zawiązywać sympatie. Mnie asystował

Stasiu Janczyk, potem Tadziu Hariasz – no i oczywiście ku mojemu zadowoleniu i satysfakcji mój największy wróg z podstawówki – Jasiu Magda. Zaczęły też przychodzić paczki z Ameryki do sąsiadów i można było coś od nich kupić do ubrania. Po wakacjach wynajęłyśmy z koleżankami stancję (internatu wtedy nie było) niedaleko szkoły. Zaczęły się przygotowania do małej matury. Już zdobyłam kilka podręczników i te koleżanki też miały. Podręczniki były towarem nader deficytowym, którego nie można było zastąpić żadnym substytutem.

W 1946 roku zdawałam małą maturę. Zdawałam polski i matematykę. Jak się okazało, że zdałam, to poczułam się bardzo „wykształcona”. W naszych stronach mało kto dochodził do tego stopnia edukacji. Przed wojną to tylko córka kierownika szkoły i Marysia Wrzask miały małą maturę. Ojciec Marysi na I wojnie stracił rękę i miał rentę i mógł córkę posyłać. Łącznie będzie coś 3-4 osoby na całą wieś. A Cmolas był dużą wioską, największą w powiecie.

Na wakacjach znowu pracowałam na półkoloniach w Hadykówce. Tymczasem bracia Broniek i Edziu kończyli podstawówkę. Najbardziej pracował się Edziu. Po ukończonej podstawówce Broniek zdał do Liceum w Kolbuszowej, a Edziu wyruszył w świat. Ja tymczasem wyjechałam na zaproszenie Krysi Ślisulskiej, która wcześniej wyjechała na Nowe Ziemie Polski z rodzicami i zajęli gospodarstwo koło Namysłowa. I tak miała się rozpocząć moja podróż na Dolny Śląsk. A tam już czekało na mnie nowe życie.

From Cmolas to Lower Silesia

This article presents, in the form of an oral history, Stanisława Żukowska's life story (her maiden name was Augustyn), who was born in Cmolas in 1925. The memoirs include childhood, adolescence, the time of occupation. They refer to the tradition, local customs, people and the neighbourhood. The memoirs are preceded by a short introduction which focuses on resettlement in the post-war Poland, movements of population. The work briefly discusses the method of oral history, its specificity and problems associated with using this method in research.